

Pięć

Poddani Lily rozsuwali się na boki, kiedy wychodziłam z gaju. Nie musieli pytać o to, co zobaczyłam, wiedzieli. Moje stopy zniosły mnie do księżycowego mostu praktycznie same, nie potrzebując rozkazu od mózgu, którego myśli były teraz zaprzątnięte całkowicie stanem, w jakim znajdowała się Lily. Na dąb i jesion, jak to się stało?

Choroba Lily była czymś niemożliwym. Świat wróżek prosperuje na tym, co niemożliwe, ale niektóre reguły nie powinny być łamane. Rusałki nie chorują. Lily była chora.

Coś mi umykało.

Przejście z włości Lily do świata śmiertelników nadal było łatwe i niczym niezakłócone. Mogła być chora, ale nie utraciła jeszcze kompletnie wpływu na swoje domostwo. To prawdopodobnie była dobra rzecz. Zszłam z mostu, stopy poprowadziły mnie w kierunku bramy.

— Toby? — Zapytała Marcia. Nie zdawałam sobie sprawy, że tam była dopóki się nie odezwała. To nie świadczyło o niczym dobrym. Martwiłam się o Lily, ale to nie znaczyło, że mogłam sobie pozwolić, aby tak całkowicie odpłynąć i dać się zaskoczyć.

Zatrzymałam się i zwróciłam twarzą w kierunku księżycowego mostu. Marcia i Walther stali u jego podstawy, obserwując mnie przenikliwie. Łzy spływały po policzkach Marcii. Nie powiedziałam słowa. Nie wiedziałam, od czego zacząć.

— Czy... — Marcia zawahała się, przygryzając wargę nim dokończyła. — Czy Lily...?

— Nie wiem. — Uspokajanie i zapewnianie nie było moją najmocniejszą stroną. Nie mogłam wymazać z głowy obrazu oczu Lily w kolorze ciemnej wody. — Żałuję, że nie wiem.

Wyglądała na dotknięta. Nie mogłam jej za to winić. Świat wróżek nie jest sprawiedliwy ani dobry dla odmieńców. Wykroiliśmy dla siebie trochę miejsca na granicy socjety wróżek, ale nigdy nie jest tam stabilnie i tak naprawdę bezpiecznie. Ludzie tacy jak Devin, którzy w dzieciach odmieńcach widzą źródło, które można eksploatować, są o wiele bardziej powszechni niż osoby takie, jak Lily, które otwierają swoje drzwi dla tych najsłabszych pośród nas i nigdy nie proszą o nic więcej poza lojalnością. Oferowała ochronę, dobroć i miejsce, do którego można było należeć. Niektórzy z jej poddanych nigdy wcześniej nie mieli żadnej z tych rzeczy.

Walther objął Marcie ramieniem, pytając. — Co się stanie, jeśli się jej nie poprawi?

— Nie wiem — powtórzyłam. To nie była prawda. Miałam pewną wizję tego, co się wydarzy. Całe domostwo niechronionych odmieńców? W najgorszym wypadku wpadną w łapy drapieżnika takiego jak Devin. W najgorszym ...

— Większość z nas nie ma dokąd pójść. — Marcia opadła w ramionach Walther'a. — Moja rodzina nawet mnie nie uznaje.

To nie było zaskakujące. Nadal się krzywiłam. — Lily nie umrze, Marcia. Nie pozwolę jej na to. — Marcia ponownie przygryzła wargę. — Obiecujesz?

— Nie mogę tego zrobić dopóki nie wiem, co jest grane, ale obiecuję, że spróbuję. — Zawahałam się. — Czy jest tu gdzieś jakiś telefon?

— Użyj mojego — powiedział Walther, wygrzebując z kieszeni komórkę mniejszą niż talia kart. Rzucił ją do mnie.

— May ciągle stara się mnie zmusić abym nosiła komórkę — powiedziałam, marszcząc nos i otwierając telefon. — Czy nikt już dłużej nie wierzy w prywatność.

— Wygoda wygrywa — powiedział Walther. — Do kogo dzwonisz?

— Mam nadzieję, że do kogoś kto pomoże. — Oglądałam wyświetlacz nim wybrałam konkretne klawisze i wcisnęłam guzik rozmowy. Telefon syczał głucho. To był dobry znak. Podniosłam go do ucha, odpowiadając i zawodząc cicho zakłęcie. — Do marudnej morskiej wiedźmy, która pewnego dnia prawdopodobnie mnie zabije.

Marcia sapnęła. Walther wyglądał na zmieszanego. Każdy słyszał o Luidaeg, ale nieomal nikt jej nie znał, no i większość ludzi zdecydowanie nie miała jej numeru telefonu. Walther nie był w mieście na tyle długo, aby mógł usłyszeć o tym specjalnym związku z kobietą, od której każda zdrowa na umyśle osoba trzymałaby się w cholerę z daleka. Ale dowie się.

Moja magia odpowiedziała na prośbę, wzrastając wokół mnie, wypełniając moje usta zapachem miedzi i świeżo skoszonej trawy. Syczący dźwięk został przerwany, zastąpiony odległym statycznym dźwiękiem. Westchnęłam, pozwalając moim ramionom zrelaksować się. Luidaeg technicznie nie ma podłączonej linii telefonicznej i przez to ciężko jest uzyskać połączenie. Te specjalne efekty były znakiem, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Statyczny dźwięk skończył się nagle. Zakłęcie, które próbowałam rzucić roztrzaskało się wokół mnie, kiedy Luidaeg warknęła, — Kto?

Brzmiała na wkurzoną. Nic nowego, Luidaeg zwykle brzmi na wkurzoną. Zanim zdążyła się rozłączyć, szybko powiedziałam. — Luidaeg, to ja.

— Toby? — W jej głosie wyczułam słabą nutkę hysterii. To mnie zmartwiło. Wszystko, co mogło naprawdę zmartwić Luidaeg było czymś, czego wołałabym unikać. — Czego chcesz do cholery?

— Potrzebuje twojej pomocy.

— Czyżby? A może, chociaż raz sama uporasz się ze swoim własnym gównem? — Klócenie się z Luidaeg jest głupie i samobójcze, ale nie miałam czasu na dyplomację. — Potrzebuje cię. Lily jest chora.

— Chora? Jak? Czy to jedyny powód, dla którego dzwonisz, czy może świat też właśnie się kończy?

— Jeśli tak to nikt mnie jeszcze o tym nie poinformował — odparłam. — Nie może się skoncentrować, zapomina o różnych rzeczach, osobach i nie wygląda właściwie. Tak jakby nie mogła sobie przypomnieć, w jakim kształcie powinna się znajdować.

— Jeśli jest chora, to nie może sobie przypomnieć. Rusałki są materialne tylko dzięki koncentracji. — Coś w tle zatrzęszczało. — Sprawdziłaś jej wody?

Zerknęłam w stronę Walthera i powiedziałam, — Zostały sprawdzone magicznie i przyziemnie. Są czyste.

— A co z jej perłą?

Zawahałam się. — Z jej czym?

— Och, na miłość boską. — Luidaeg brzmiała bardziej na zmęczoną niż zirytowaną. — Rusałki mają perły, które służą im, jako fizyczna kotwica. Jeśli one zostają uszkodzone, rusałki też zostają uszkodzone. Wiesz gdzie jest ukryta perła Lily? Sprawdziłaś?

— Nie, ja... —

— Zapytaj ją i sprawdź jeszcze raz wodę. To wszystko, co mogę ci dać. — Westchnęła. — Są pewne rzeczy, których nie można naprawić, Toby. Może już czas abyś się tego nauczyła.

— Luidaeg, proszę to poważna sprawa.

— To zawsze poważna sprawa dla bohaterów, ale pamiętaj, że nie można uratować wszystkich. Zapytaj mego ojca. — Zaśmiała się gorzko. — Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić, ani dla niej. Jestem w trakcie czegoś... — Pojawił się kolejny dziwny odgłos oraz dźwięk trzasku łamanego drewna. Zawahałam się. — Czy wszystko w porządku?

Jakoś wydawało mi się, że byłoby lepiej gdybym tego nie mówiła. — Nie ma tu niczego, co wymagałoby ingerencji bohatera żałuję, że nie mogę być odpowiedzią na wszystkie twoje problemy, ale nie mogę. A teraz zostaw mnie samą. Mam robotę. — Rzuciła słuchawkę na widełki. Słyszałam jak plastik pęka nim połączenie zostało przerwane.

Odsunęłam telefon Walthera od ucha, świadoma, że moje palce zaciskają się na nim tak mocno, iż zbiełały mi knykcie. — Rozłączyła się.

— Morska wiedźma rozłączyła się z tobą? — Zapytała Marcia, brzmiąc onieśmiałą.

— Czekaj, chcesz powiedzieć, że to była... — Walther sapnął.

Rzuciłam mu z powrotem jego telefon, rozmasowując bolące palce.

— Tak, była i tak zrobiła to. Chyba ma kiepską noc. Czy, któreś z was wie, gdzie Lily trzyma swoją perłę?

— Swoją co? — Zapytała Marcia.

Walther wciąż się gapił. — Dlaczego morska wiedźma chce wiedzieć gdzie Lily trzyma swoją perłę?

— Czy możemy po prostu zaakceptować fakt, że znam Luidaeg i ruszyć dalej? — Zapytałam. — Powiedziała, że uszkodzona perła Lily może wyjaśnić fakt, że jest taka chora. Powiedziała również, że musimy znowu sprawdzić wodę.

— Zaraz się tym zajmę — powiedział powoli Walther, — Ale nie wiem gdzie Lily trzyma swoją perłę.

— Ani ja — odparła Marcia.

— No tak. — Oparłam nos na skraju mostu, zastanawiając się nad tym jakie mam opcje. W końcu wyprostowałam się i powiedziałam. — Pieprzyć to. Zapytajmy Lily.

Oczy Marcii zmrużyły się. — Myślisz, że odpowie?

— Myślę, że będziemy igrać z jej życiem, jeśli nie spróbujemy. — Weszłam na most.

— Chodźcie.

Poszli.

Temperatura we włościach Lily opadła o kilka stopni, kiedy byliśmy na zewnątrz i ścieżkę trudniej było znaleźć, niż zwykle. Jej choroba zdecydowanie wpływała na to miejsce a to nie mogło świadczyć o niczym dobrym. Nasza trójka wędrowała nieomal przez piętnaście minut nie napotykając nikogo, nim znaleźliśmy drogę powrotną. Pomocnicy Lily nadal tam byli, czekając aż będzie ich potrzebowała. Spytałam, czy wiedzą gdzie Lily trzyma swoją perłę. Potrząsnęły głowami. Tyle, jeśli chodzi o łatwy prosty sposób.

Marcia odsunęła się kilka kroków z daleka od wejścia do wierzbowego gaju. — Przykro mi nie mogę, po prostu nie mogę.

— W porządku. — Zerknęłam na Walthera. — Zostań z nią? — Pokiwał. — Dobrze. Zaczekajcie tutaj, zapytam ją i wracam do was a wtedy zastanowimy się, co robić dalej.

Weszłam w gorące cienie pod drzewami sama. — Lily? — Nie było odpowiedzi. Szłam dalej. — Lily?

Zobaczyłam ją przed sobą, jej skóra była niemożliwie wręcz blada na tle otaczającej ją czarnej wody. Opadłam na kolana obok basenu, nachylając się, aby zamoczyć w nim rękę.

— Lily? — Wyszepiałam. Nie zareagowała. Wyglądałaby spokojnie, gdyby nie była tak trupio blada i zimna, pomyślałabym, że spała. Zaryzykowałam potrząsając ją delikatnie. — Proszę, musisz się obudzić i powiedzieć gdzie ukryłaś swoją perłę. Musimy cię uratować.

— Nie obudzi się — powiedział głos tuż za mną.

— Muszę spróbować. — Obróciłam się, aby zerknąć przez ramię. — Jak poszło na dworze królowej?

— Bardzo grzecznie poproszono mnie abym wyszedł.— Błysk rozbawienia zagościł na jego twarzy. — Twój sobowtór ma prawdziwy talent do rzucania obelg. Nie sądzę, abym kiedykolwiek wcześniej został obrzucony, niektórymi z nich a byłem określany naprawdę wieloma różnymi nazwami. Wierzę, że twój duży przyjaciel zabrał ją do domu. Przeszedłem zobaczyć, czy nie potrzebujesz pomocy. — Podszedł oferując swoją dłoń. Przyjęłam ją, pozwalając, aby postawił mnie na nogi.

— Nie, chyba, że wiesz gdzie Lily trzyma swoją perłę.— Najciszej jak mogłam powtórzyłam, co powiedziała mi Luidaeg. Nie puścił mojej ręki.— Na dąb i jesion, Tybalt nie wiem, co robić.

— Zrobisz cokolwiek musi zostać uczynione. Zawsze tak robisz.

— A jeśli to nic nie da? — Chciałam być wściekła. Chciałam w coś uderzyć. Ale gniew w niczym mi nie pomoże, poza tym nie miałam na widoku żadnego celu.— Co wtedy?

— Wtedy, przypuszczam, że będziemy mieli problem.

Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie zanim wypuściłam ciężki oddech i uwolniłam rękę.

— Powinam wracać do domu. Czy mógłbyś...—

— Będę ich pilnował do czasu, aż Lily będzie w stanie powiedzieć mi, że moje usługi nie są już dłużej potrzebne. — Zaoferował niewielki uśmiech nim odwrócił się, wychodząc z pomiędzy drzew, bez jednego słowa. Nic więcej nie mogłam tu zrobić, więc podążyłam za nim.

Marcia i Walther stali na ścieżce zieleni kilka jardów od drzew. Ona opierał się o niego i drżała, chociaż wyglądało to bardziej na dreszcze wyczerpania niż zimna. Walther spojrzał do góry, kiedy usłyszał jak nadchodzimy, zamrugał na widok Tybalta, ale nie powiedział ani słowa. Dwór kotów był luźno powiązany z terenami parku od bardzo, bardzo dawna. Każdy, kto żył w parku był przyzwyczajony, że wróżki Cait Sidhe przychodzą i odchodzą kiedy chcą.

— Lily nie chce się obudzić — powiedziałam, bez wstępów. — Musisz popytać we włościach i zobaczyć, czy ktoś wie gdzie ukryta jest perła. Jeśli się obudzi, spytajcie ją bezpośrednio. W porządku?

— Tak — powiedziała Marcia. Walther tylko skinął.

— Dobrze. Dzwoncie, jeśli będziecie czegoś potrzebować, albo, jeśli czegoś się dowiecie. Sprawdź, co u was jutro. — Zawahałam się nim dodałam. — Jeśli Lily się pogorszy...

— Zadzwonimy — powiedział Walther.

— Dobrze — odparłam. — To wydawało się niewystarczające, więc powtórzyłam niezręcznie — Dobrze.

Marcia wzięła głęboki oddech i powiedziała. — Reguły nie pozwalają nam podziękować, ale jesteśmy wdzięczni, że przyszłaś. Wiemy, że nas nie lubisz, więc to miło z twojej strony, że przyszłaś.

— Co? — Zmarszczyłam się w jej stronę. — Nie rozumiem, co masz na myśli?

— Nie winilibyśmy cię, gdybyś już nigdy więcej nie chciała mieć nic wspólnego z Herbacianymi Ogrodami, albo z nami. Simon cię tu skrzywdził, a myśmy go nie powstrzymali.

— Marcia.....— jęknęłam. — Och na korzeń i gałąź.

Szesnaście lat temu, Simon Torquill, przemienił mnie w rybę i porzucił w Herbacianych Ogródach. Byłam prawie pewna, że oczekiwiał, iż zadławię się na śmierć powietrzem. Subtelność nie jest utraconą sztuką w świecie wrózek, tak samo jak pogrywanie sobie z kimś. Nie mogłam wrócić do swojej postaci, ale gdy jakiś turysta podniósł mnie i wrzucił do wody, jak cholera mogłam odpłynąć od niego w kierunku wolności. Wściekły Simon owinał Herbaciane Ogrody całunem zapomnienia, kryjąc je przed resztą świata wrózek. Nie wiem jak to zrobił, nie powinien mieć tego rodzaju mocy.

Ale zrobił to tak, czy inaczej i przez czternaście lat ludzie, których kochałam sądzili, że nie żyję, podczas gdy ludzie, których kochała Lily zapomnieli, że w ogóle istniała.

Co do poddanych Lily... nie mogli jej zobaczyć, nie mogli jej dotknąć, nawet nie pamiętali, dlaczego tam byli. Rozpierzchli się i nie wszyscy powrócili, kiedy zakłęcie skrywające Herbaciane Ogrody przed oczami wrózek w końcu zostało złamane. A co do tego, gdzie dokładnie wtedy byli i co robili..., nigdy nie próbowali mi tego powiedzieć a ja nigdy nie pytałam. Dobrze wiem jak twardy potrafi być świat wrózek dla tych najsłabszych, których nikt nie chroni. Kiedy zakłęcie pękło, wrócili do domu i pozwoliłam, aby to mi wystarczyło. Niektóre z wrózek czystej krwi żyły w Herbacianych Ogrodach dłużej niż byłam na świecie i właśnie odzyskały dom, czy tylko po to, aby go znowu utracić?

— Lily jest dla mnie ważna — powiedziałam w końcu. — Nie porzucę jej z powodu tego, co zrobił Simon. Nie porzucę żadnego z was.

Marcia odsunęła się od Walthera i zarzuciłam mi ramiona na szyję nim miałam szansę zareagować. Łkała teraz już na poważnie. Zamrugałam, głaszcząc ją dłonią po głowie. — Ciii, Marcia. Wszystko będzie dobrze.

— Obiecujesz? — Wyszepiała.

Tym razem się nie kłóciłam. — Obiecuję. Jeśli jest jakiś sposób, aby poprawić tą sytuację, to, to zrobię. To moja praca. Ale teraz muszę już iść.

— Dobrze Toby — powiedziała i puściła mnie, cofając się do tyłu. — W porządku.

Kilkoro poddanych Lily przywędrowało podczas naszej rozmowy. Teraz nieomal nas otaczali, stojąc w pełnej szacunku odległości i obserwując oczami przepętlionymi nadzieją. Liczyli, że to naprawię. Był tylko jeden mały problem, tak naprawdę nie sądziłam, że będę w stanie.

— Chodźmy — powiedział Tybalt, kładąc ręką na moim ramieniu i kierując w stronę księżycowego mostu. Walther podążał za nami, ciągnąc Marcię delikatnie za rękę.

Wyjścia z parku były zamykane na noc. Nie byłoby to problemem, gdyby Lily była przytomna, ale przy jej obecnym stanie mieliśmy pewne ograniczenia. Tybalt spoglądał przez chwilę na cienie, oceniając, po czym potrząsnął głową. — Nie po tym, jak przybiegłem tu z włości królowej — powiedział. — Nie będę mógł w tej chwili nikogo przenieść.

— Nie szkodzi. — To, że też miał ograniczenia było dla mnie nieomal uspokajające. — Walther, czy jest jeszcze jakaś inna droga wyjścia?

— Tak — powiedział i poprowadził nas do drzwi ukrytych w krzakach. Stały otworem, przytrzymywane przez jednego z poddanych Lily. Nie rozpoznałam go a on nie spojrzał mi w oczy, gdy nadeszliśmy. Ucisnęłam krótko Marcię, powiedziałam po raz ostatni. — Zadzwońcie. — I wyszłam. Tybalt podążył za mną. Drzwi zamknęły się za nami, po czym zniknęły. Nie nazywają nas 'Ukrytym Ludem' ot tak sobie, gdy tego nie chcemy, nie jesteśmy widziani. Tybalt odprowadził mnie na parking. Kiedy doszliśmy do końca trawnika nagle powiedział. — Nie jestem pewien jak to powiedzieć, abyś zrozumiała.

— Może po prostu to powiedz i zobaczymy, co się wydarzy? — Odwróciłam się w jego stronę. Jego oczy były niesamowicie zielone w blasku ulicznej latarni. — Chodzi ci o to, co stało się na dworze królowej? Przepraszam, że cię spoliczkowałam. Wydawało się to najlepszym sposobem na odwrócenie uwagi.

— To nic — odparł, machając ręką. — Królowa nie dała ci *Złotej Zieleni* z dobroci serca, Toby. Powinnaś to wiedzieć.

— Wiem. — Posłałam mu sztywny i sardoniczny uśmiech. — Moja mama nie wychowała całkowitej idiotki.

— Twoja matka nie wychowywała cię w ogóle. — Wyras jego twarzy był ponury a jego oczy przeszukiwały moją twarz. Nie wiedziałam, czego tam szuka. — Nie wiem, jakie ma plany, ale to jakiegoś rodzaju pułapka. Zbyt długo byłem królem, aby tego nie wiedzieć.

Pokiwałam, kiedy nowe warstwy stresu dołożyły się do tej góry, którą już na sobie taszczyłam. — Nie mogłam odmówić. Przynajmniej, jeśli nie chciałam skazać się na wygnanie za bezczelność i obrazę królowej.

— Nawet, jeśli. — Sięgnął i przejechał palcami wzdłuż linii mojej szczęki.— October

...

— Dlaczego mnie pocałowałeś? — Zadałam to pytanie nieomal zanim zdałam sobie sprawę, że sformułowałam je w swojej głowie. Poczułam jak się czerwienie.

Tybalt szarpnął się do tyłu, jakbym ponownie go spoliczkowała, jego dłoń opadła.— Moje intencje były takie same jak twoje. Musiałem dać im konkretny powód do plotek a nie ryzykować, że będą plotkować o naszej znajomości.

— Mogłeś trzymać się z daleka. Nie byłoby wtedy żadnych plotek.

— Nie. Nie mogłem. Pani Mgieł coś planowała.

—Tybalt.—

— To był środek prowadzący do celu, to wszystko. Przepraszam, jeśli cię obraziłem. Przyślę ludzi do obserwacji Herbacianych Ogrodów, dzwoń gdybyś mnie potrzebowała. — Wszedł z powrotem do cienia. — Dbaj o siebie, mała rybko. Te wody są o wiele głębsze niż te, do których przywykłaś. — Cienie zamknęły się wokół niego i zniknęły.

Spoglądałam przez długą chwilę w miejsce, w którym stał, nim westchnęłam i odwróciłam się w stronę parkingu..., na którym nie było przecież mojego samochodu, dzięki mojej jeździe na pożyczonej, ekspresowej miotle z dworu królowej.

— Niech to szlag — powiedziałam. Cóż nie spowodowało to pojawianie się mojego samochodu, ale chociaż poczułam się przez to lepiej. Rozważałam odwrócenie się i powrót do Herbacianych Ogrodów w celu zapytania, czy ktoś nie mógłby mnie podwieźć. Ta chęć przeszła mi, jeszcze zanim się pojawiła. Poddani Lily byli wystarczająco zmartwieni, bez ich zastępczej opiekunki wpadającej i przyznającej, że zapomniała, iż nie przyjechała tu samochodem.

Większość automatów telefonicznych zniknęła w ciągu ostatnich dwudziestu lat, ale niektóre pozostały jeszcze przy życiu, jeśli wiedziało się gdzie szukać. Przeszłam przez fragment parku do automatu znajdującego się niedaleko stolika turystycznego, przeklinając pod nosem, kiedy zdałam sobie sprawę, że królowa przy transformacji moich ubrań, nie zostawiła mi kieszeni, a tym bardziej drobnych. Wezwanie taksówki nie wchodziło w grę. A więc autobus albo nic.

Jeśli kierowca autobusu pomyślał sobie, że jest coś dziwnego w kobiecie w przemoczonej sukni balowej o poranku, to nie powiedział ani słowa. Istniały całkiem spore szanse na to, że nie byłam najgorszą rzeczą, jaką widział tej nocy. Podniosłam do góry rękę, aby wyglądało na to, że coś trzymam i użyłam tych resztek magii, które wezwałam, aby stworzyć swoje ludzkie zauroczenie i ukazać kierowcy bilet miesięczny. Burknął coś w odpowiedzi, wskoczyłam na siedzenie najbliżej drzwi i zamyśliłam się. W tej właśnie chwili oddałabym nieomal wszystko, aby odnaleźć moją matkę i powiedzieć jej, co się dzieje. Była najsilniejszą wróżką, zajmującą się magią krwi w krainie wróżek, zanim oszalała. Prawdopodobnie mogłyby podążyć za wodami Lily do źródła i dać nam klucz do rozwiązania tej zagadki. Albo kiedyś mogłyby to zrobić.

Niestety mimo, że może udałoby mi się odnaleźć jej ciało, nie było na świecie żadnego detektywa, który byłby w stanie odnaleźć jej umysł. Światła się pała, ale nikogo nie ma w domu a rachunek za elektryczność nadal rośnie.

Jazda do domu zajęła mi jakieś dwadzieścia minut w większości dlatego, że sporo wracających z imprez, pijanych pasażerów, zamiast zająć miejsce od razu, musiało jeszcze pogadać sobie z kierowcą.

Opuściłam autobus z autentycznym szacunkiem dla jego kierowcy i przyrzeczeniem, że nigdy więcej nie skorzystam z publicznego transportu.

Światła w salonie były zapalone, kiedy weszłam i skierowałam się w stronę drzwi, zabezpieczenia zostały zdjęte a nie zniszczone. To znacząca różnica, zniszczone zabezpieczenia oznaczają, że w twoim domu znajduje się ktoś, kogo być tam nie powinno. Zdjęte oznaczają, że ktoś jest po prostu w domu. Weszłam do środka.

May spała na kanapie ze Spikiem na kolanach. Telewizor był wyciszony. Wyłączyłam go nim przeszłam korytarzem do swojej sypialni, ostrożnie tak by nie zbudzić May. Dobrze, że miała okazję trochę odpocząć. Wkrótce będziemy już coś wiedzieli a w międzyczasie ja też musiałam zamknąć oczy, choć na kilka minut nim zadzwonię do Cienistych Wzgórz i powiadomię o wszystkim Sylwestera.

Gdy byłam już w swoim pokoju, zdjęłam buty i usiadłam na łóżku, nadal w balowej sukni. Musiałam zadzwonić do Sylwestera. Musiałam zmienić ubrania. Musiałam się ruszyć.

Słabo pamiętam tylko jak usłyszałam, że koty wskakują na łóżko. Po tym zapadła nicość.

Sześć

Otworzyłam oczy na świat składający się w całości z kwiatów. W całości z białych kwiatów, pełny powojów i białych róż, delikatnych jak obsypana brokatem koronka. Zamrugalam. Kwiaty nadal tam były.

— W porządku, to się robi autentycznie dziwne — wymamrotałam pod nosem. Kwiaty nad głową, wirowały na wietrze, posyłając w dół na mnie prysznic spadających płatków. Nie było żadnego zapachu. Nawet, gdy zawiewał wiatr, nie było czuć żadnego zapachu. Zrelaksowałam się, nagle rozumiejąc powód tej dziwacznej zmiany scenerii. — No jasne, to sen.

— Szybko poszło ciociu ptaszyno — powiedział aprobujący głos po mojej lewej stronie.

Usiadłam, strząsając płatki z włosów, gdy się odwróciłam. — Biorąc pod uwagę to, jak często ktoś wrzuca mnie w moje własne sny, ostatnimi czasy, stało to się jakby moją umiejętnością przetrwania. Dlaczego jesteś w moim śnie, Karen? Zakładam, że nie wynika to tylko z nudy. — Przerwałam. Cholera, przecież śpię. Nie mogę teraz spać, mam sprawy do załatwienia. Moja adoptowana siostrzenica spojrzała na mnie z powagą. Klęczała w trawie, płatki miała rozsypane na swoich jasnoblonde włosach. Jej niebieska flanelowa piżama sprawiała, że wyglądała tu kompletnie nie na miejscu, tak jakby wpadła nie do tego filmu, co trzeba. Karen to druga w kolejności córka mojej najlepszej przyjaciółki, Stacy Brown no i posiada swój niedawno odkryty, nieoczekiwany talent, który ujawnił się, gdy porwał ją ślepy Michael. Widzi w snach przyszłość. Może również używać snów alby przekazać ludziom rzeczy, które uważa, że powinni wiedzieć. Taka ze mnie szczęściara, że jestem dość popularnym celem.

Dobrze, że ją lubię w przeciwnym razie mogłabym być wściekła z powodu tego, że dość regularnie nawiedza moje sny dwunastolatka.

— Ale nie możesz być teraz też obudzona. Jest coś, co musisz zobaczyć — powiedziała i wstała, odchodząc w stronę kwiatów. Z braku innych opcji wstałam, strzepałam płatki kwiatów i poszłam za nią.

Zdecydowanie łatwiej poszło jej wyjście z zaimprovizowanej altany niż mnie, była niższa i mogła schylić się pod gałęziami, które uderzyły mnie po twarzy. Przeklinałam pod nosem do czasu, kiedy przepchnęłam się przez ostatnie połączenie białych irysów i wyszłam na otwartą przestrzeń, po czym zamarłam z przekleństwem na ustach. Znałam to miejsce. Och słodka Titanio, znałam. Wieża Amandine stała wysoka i dumna, przed nami, biały kamień połyskiwał delikatnie, odbijając się od nieba Letnich Krain. Zawsze tak połyskiwała, jak latarnia, która nigdy nie musiała zostać zapalona. Kamienne ściany, pasujące do wieży okalały ogrody, wyznaczając granice nie robiąc niczego, aby chronić to miejsce. Amandine nigdy nie czuła się jakby musiała się bronić a kiedy z nią mieszkałam, wciąż byłam zbyt młoda, aby zdać sobie sprawę jak dziwna to była postawa w świecie wróżek.

— Karen — powiedziałam, powoli, zmuszając się do oddechu. — Co tu robimy?

— Tylko patrz — powiedziała.

A więc patrzyłam.

Czas we śnie nie biegnie jak prawdziwy czas. Nie wiem jak długo stałyśmy w ogrodzie mojej matki, ale bycie tam nawet we śnie przyprawiło mnie o ból serca. Połowę dzieciństwa spędziłam w tym właśnie ogrodzie, próbując być czymś, czym nie byłam. Rozrósł się dziko od czasu, gdy Amandine porzuciła swoją wieżę i byłam z tego powodu zadowolona. Był to, bowiem jedyny powód, dla którego w ogóle mogłam znieść to, że tam byłam.

— Tutaj — wyszeptała Karen, łapiąc mnie za rękę. — Patrz.

Wschodnia brama otworzyła się, ktoś szedł ogrodową ścieżką. Zmrużyłam oczy, spoglądając na zbliżającą się do nas kobietę. Czarne włosy, złota skóra, szpiczaste uszy i oczy w odcieniu zasiniałego nieba między gwiazdami. Oleander de Merelands. Zesztywniałam, próbując wepchnąć Karen za siebie.

— Niech to szlag — zasyczałam. — Karen, schowaj się.

— To tylko sen ciociu ptaszyno — odpowiedziała spokojnie. — Tylko patrz.

Drżąc z napięcia, stałam gdzie byłam, obserwując Oleander w taki sposób, w jaki mysz obserwuje węża. Niezbyt dobre porównanie. Oleander de Merelands była w połowie Peri¹ w połowie Tuatha de Dannan i zdecydowanie była uosobieniem wszystkiego, co niebezpieczne dla zdrowia. Była tam w tedy, gdy Simon Torquill zamienił mnie w rybę, śmiała się. Nawet wiedząc, że to, co o niej mówią (pogłoski o zamachach na zlecenie, zamiłowanie do trucizn, handel czarną magią i pomniejszymi związanymi z nią usługami) to coś, czego nigdy nie zapomnę. I tak się śmiała.

Wróżki nigdy się nie starzeją, ale większość tych czystej krwi wygląda jak dorośli. Oleander wygląda zaledwie na szesnaście lat, ma budowę tancerki i proste czarne włosy, które opadają aż do jej wąskich bioder. Od razu można było zobaczyć, dlaczego nikt nie traktował jej poważnie... a przynajmniej do czasu, kiedy nie zaczęły o niej krążyć te wszystkie historie.

Poszła prosto mijając nas. Zrelaksowałam się nieznacznie. To był sen, nie mogła zobaczyć czegoś, czego tak naprawdę tam nie było. Przystanęła przy drzwiach wieży, gdzie podniosła dłoń i zapukała. Minutę później drzwi stanęły otworem i wyszła z nich moja matka.

Wstrzymałam oddech ponownie, ale tym razem z zupełnie innego powodu. Nie widziałam mojej matki od lat, chociaż nie zupełnie. Prawdziwa Amandine wyśliznęła mi się z rąk, gdy byłam uwięziona w stawie. Nie byłam przygotowana na to, że zobaczę ją taką. Łatwo było zapomnieć jak piękna była, zakładając, że w swojej wyobraźni gloryfikowałam ją, sprawiając, że była niemożliwie wręcz idealna. Ale naprawdę taka była.

Jasny blond włosów Karen wyglądał na lekko rozjaśniony. Włosy Amandine były białe złote, prosty naturalny kolor niektórych nieznanymi szlachetnych metali.

Nosiła je skręcone w elegancki warkocz, który spływał po plecach sukni w kolorze wina, aż do pasa. Jej oczy były koloru przydymiono szarej porannej mgły. Rozszerzyły się, gdy zobaczyła Oleander, po czym zmrużyły z oburzenia.

— Co tu robisz? — Zażądała odpowiedzi. — Nie jesteś tu mile widziana. Nie gwarantuję ci gościnności, ani dobroci mego serca.

— Dlaczego Amy, czyż nie jesteś aktualnie zadzierającą wysoko nosa suką? — Głos Oleander był podszyty obrzydzeniem.

— *On* mnie przysłał. Ktoś pomyślał, że powinien wiedzieć, że znowu wróciłaś do domu.

Amandine zacisnęła usta. W końcu, lekceważąco zapytała. — Czy to do takiej roli zostałaś zredukowana? Odgrywasz posłańca dla wróżek Daoine Sidhe? Myślałam, że stać cię na coś więcej niż to.

— Przynajmniej nie kurwiłam się w świecie śmiertelników, szukając zastępstwa — wypluła Oleander.

— Czy on kiedykolwiek widział twoją małą imitację, Amy. Mogę ją do niego zabrać, jeśli nadal uważasz, że jesteś zbyt dobra na towarzyskie rauty. A może boisz się, że ona zorientuje się, czym jest? Boisz się, że...—

¹Peri - to pewnego rodzaju duchy, zazwyczaj piękne, młode dziewczęta. W folklorze są to prawie zawsze duchy pomocne człowiekowi. Inaczej jest w Aweście i literaturze średnio perskiej, gdzie peri to uosobienie wszelkiego zła. (Zakładam, że o taką właśnie Peri chodzi też tutaj;)

Skrzywiłam się, zanim jeszcze Amandine w ogóle zaczęła się poruszać. Oleander nie znała jej tak dobrze jak ja i nie rozpoznała napięcia w jej postawie dopóki nie było już za późno.

Amandine chwyciła Oleander za gardło, drugą ręką łapiąc ją za nadgarstek nim kobieta w ogóle miała szansę zareagować. Nie powinnam być w stanie słyszeć tego, co nastąpiło potem. Byłyśmy zbyt daleko a ona mówiła zbyt miękko i cicho. Ale to był sen i usłyszałam to, co Karen chciała, abym usłyszała.

— Jeśli pojawisz się w pobliżu mojej córki, jeśli jej dotkniesz, jeśli na nią spojrzysz, będę wiedziała i zapłacisz mi za to. Ton Amandine był lekki. Brzmiałyby nieomal rozsądnie, gdyby nie furia w jej spojrzeniu... i strach Oleander. Och na dąb i jesion, jedna z najstraszniejszych kobiet w świecie wróżek spoglądała na moją matkę, jakby ta była potworem z jej własnej szafy.

— Zrozumiałaś mnie, Oleander? Sprawię, że zapłacisz za to, na tak wiele sposobów, których nie jesteś sobie w stanie nawet wyobrazić. Skrzywdzę cię a ból nie minie. Zrozumiałaś?

— Suka — zasyczała Oleander.

Amandine zmrużyła oczy. Zapach jej magi (krew i róże) nagle wypełnił bezwonny ogród a Oleander krzyknęła. Jej własna magia wzrastała w odpowiedzi (kwas i oleandry) i została nieomal natychmiastowo pogrzebana pod zapachem mojej matki, krew i róże. Amandine nie poruszyła się, ale musiała coś zrobić, ponieważ Oleander wciąż krzyczała, był to wysoki dźwięk, który nie był przeznaczony do tego, aby wyjść z jakiegokolwiek ludzkiego gardła.

Zapach krwi i róż zanikł. Oleander opadła w dłoniach Amandine. Moja matka spojrzała w dół na nią, beznamiętnie nie wypuszczając jej z ręki.

— Na ile to, kim jesteś, czyni cię tym, czym jesteś? — Zapytała Amandine. Jej głos nadal był miękki. To była możliwie najgorsza część. — Jak myślisz, jak bardzo można to zmienić? Chciałabyś się dowiedzieć?

— Nie — wyszeptała Oleander.

— Obawiam się, że nie słyszę. Co powiedziałaś?

Oleander oblizwała wargi. — Powiedziałam, że nie zbliżę się do twojej córki. Odejdę. Powiem, że nie chcesz, aby cię niepokojono.

— Ach, więc dobrze. — Amandine puściła ją wyglądając na usatysfakcjonowaną. Oleander opadła na kolano sapiąc, gdy Amandine cofnęła się do tyłu na miejsce, w którym poprzednio stała. — Liczyłam, że to powiesz. Twoja wizyta była bardzo pouczająca Oleander. Ufam, że nie zostanie powtórzona.

Oleander podniosła się na nogi, rzucając wściekle spojrzenia na moją matkę i cofając się do tyłu, poza jej zasięg. — Nie zostanie. Nie przyjdę tu ponownie.

— Nawet jeśli on cię przyśle?

— Są pewne rzeczy, których nie zaryzykuję dla nikogo. — Oleander zrobiła kolejny krok w tył, nie spuszczając przez ten cały czas wzroku z Amandine. — Zatrzymaj swoją małą pół rasową sukę. Jeśli o mnie chodzi, możecie zgnieć obie.

— Wezmę to pod rozwagę — powiedziała Amandine. Odwracając się plecami do Oleander, weszła z powrotem do swojej wieży i zamknęła drzwi.

Oleander stała w miejscu przez krótką chwilę, rzucając oczami sztylety w miejsce, w którym stała jeszcze przed chwilą moja matka. Po czym odwróciła się i rzuciła pędem ścieżką do bramy, za którą wypadła z impetem, uciekając polami otaczającymi wierzę.

Odwróciłam się do Karen. — Dlaczego mi to pokazałaś?

— Nie wiem. — Wzruszyła bezradnie ramionami. — Nadal nie jestem w tym za dobra. Robię tylko to, co tak jakby każą mi robić sny. Ale nie pokazałam ci tego.

— Co? — Zmarszczyłam się. — Oczywiście, że to zrobiłaś. Właśnie to widziałam.

— Nie. — Spojrzała nade mną, na altanę z białych kwiatów, gdzie zaczął się sen. — Nie pokazałam ci tego. Tylko ci przypomniałam to, o czym wiedziałaś.

Chwilę zajęło mi zanim uświadomiłam sobie, co mówi. Powoli odwróciłam się i zobaczyłam siebie samą, (znacznie mniejszą, znacznie młodszą, wciąż nie nawykłą do Letnich Krain, wciąż oszołomioną cudami świata wrózek, na tyle, że nie rozglądałam się jeszcze, szukając niebezpieczeństwa) wygrzebującą się spod gałęzi.

— Widzisz? — Powiedziała Karen. — Już wtedy wiedziałaś.

— Ja... nie pamiętam tego.

— Wiesz. — Poczułam jej dłoń na moim ramieniu, tak lekką jak płatek kwiatów, które otaczały nas fruując w powietrzu. — Czas się obudzić ciociu ptaszyno.

Tak też zrobiłam.

Siedem

Późnym popołudniem słońce przebijało się przez okna sypialni, świecąc mi prosto w twarz. Otworzyłam oczy, próbując zamrużyć i jednocześnie zacisnąć oczy. Niezbyt dobra kombinacja. Światło słoneczne. Miałam tylko usiąść na chwile, po czym zadzwonić do Sylwestera. Ale wtedy wpadłam w senną przestrzeń Karen i zasnęłam. A przecież, kiedy wróciłam do domu, nawet jeszcze nie świtało.

— Cholera! — Usiadłam. Koty, które leżały skulone na wysokości mojej piersi zsunęły się z łóżka a ich mrużenie zamieniło się w pełne irytacji miauczenie.

— Jest popołudnie śpiąca królowo — powiedziała May. Odwróciłam się i zobaczyłam, że stoi w drzwiach z kubkiem kawy w dłoni. — Witaj z powrotem w świecie żywych.

— Która godzina? — Zażądałam odpowiedzi przeczesując dłońmi włosy. Były splecione w beznadziejne kołtuny, zeszytywniałe od morskiej wody. Przekraczanie miasta na ekspresowej miotle prawdopodobnie im nie pomogło. Kotka Cagney zaczęła poranną toaletę, podnosząc do góry jedną łapę, zwrócona do mnie tyłem. — Dlaczego nie obudziłaś mnie wcześniej?

— Nie kazałaś — odparła rzeczowo. Wyraz jej twarzy zmienił się w nieomal uroczysty, gdy kontynuowała. — Również, nie drgnęłaś nawet, gdy rozsunęłam zasłony pół godziny temu, więc stwierdziłam, że najwyraźniej potrzebujesz snu. Już nieomal zachód słońca. Marcia dzwoniła, co dwie godziny, nie ma żadnych zmian w stanie Lily.

— Wprowadziła cię we wszystko? — Pozwoliłam dłoniom opaść na kolana. May pokiwała. — Tak, a teraz wstawaj, wrzuc coś na ząb i ubierz się, nim się spóźnimy.

— Spóźnimy? Na co? — Cagney wstała ponownie, wyginając plecy w futrzaną imitację księżycowego mostu, nim zeskoczyła z łóżka, budząc swoją siostrę. Lacey odpowiedziała ugryzieniem. Współczułam.

— Powtarzam, już prawie zachód słońca. Pierwszego maja. A to oznacza, co?

— Och, nie — jęknęłam opadając z powrotem na łóżko. — May, nie mogę. Karen była w mojej głowie ostatniej nocy. Pokazała mi ten popieprzony...nie wiem, czy to był sen, czy wspomnienie, czy co, ale była tam moja matka i Oleander. Muszę zadzwonić i dowiedzieć się, o co do cholery chodziło.

— Mów mi jeszcze. Torquillowie oczekują cię na tym balu i pojawisz się tam. Całą sytuację możesz wytłumaczyć im, gdy już tam dotrzemy.

— Czasami cię nienawidzę.

— Nic nie szkodzi, nadal idziemy.

Bal Beltane w Cienistych Wzgórzach jest jednym z najważniejszych towarzyskich wydarzeń księstwa i tak jest od wieków. To noc tańców, picia i powitania lata. W skrócie, May jest w naszym towarzystwie imprezową dziewczyną. Moja wersja imprezy zawiera zdecydowanie mniejsze ilości tłumu i więcej fizycznej przemocy. — Nie sądzę, aby to był dobry pomysł.

— Nie jest. — Zgodziła się. — Ale nie możesz zostać hrabiną Złotej Zieleni, uciec z dworu królowej, jakby się paliło a potem opuścić wielkie przyjęcie. Nie, jeśli chcesz powstrzymać królową przed domyśleniem się, że coś jest na rzeczy.

— Cholera — odpowiedziałam, gapiąc się w sufit.

— No właśnie. — Usłyszałam jak bierze łyka kawy. — Wszystko w porządku?

Zaśmiałam się gorzko. — Taa, bosko.

— Oto jest to maniakalnie depresyjne zachowanie, które wszyscy znamy i kochamy. Wstawaj. Poczujesz się lepiej jak weźmiesz prysznic.

— Słuchaj, nie możesz po prostu zadzwonić do Sylwestera i powiedzieć mu, że nie przyjdę? — Zasłoniłam oczy ramieniem, blokując je tym samym przed dopływem światła. — Powiedz mu, że jestem zajęta, ratując świat. A może po prostu zastąpisz mnie na tą jedną noc?

— Po pierwsze, nie ma mowy. Po drugie może i wyglądam jak ty, ale wszystko wyda się w tej samej chwili, w której otworzę usta. — Podeszła i kopnęła łóżko. — Wstawaj zanim zastosuje lodowatą wodę. Próbujesz pławić się we własnym nieszczęściu a ja nie zamierzam przykładać do tego ręki.

Odsunęłam ramię, aby rzucić jej wściekle spojrzenie. — Nienawidzę cię.

— Wiem a teraz chodź. Idziemy na bal i zobaczysz moją randkę.

To było coś nowego. Usiadłam, mrugając. — Masz randkę?

— Tak. Widzisz w przeciwieństwie, co do niektórych potrafisz rozpoznać coś dobrego, gdy to widzę.

— Pozostawię to bez komentarza — odpowiedziałam, zsuwając się na skraj łóżka. Moja spódnica utrudniała ruchy. — Wstałam, widzisz? Wstałam.

— Grzeczna dziewczynka. No to teraz możesz iść, wziąć gorący prysznic.

— Nie każ mi skopać twojego tyłka.

— Możesz spróbować. A teraz chodź, śniadanie, kawa, prysznic, ubrania. — Wyszła na korytarz pogwizdując. Rzuciłam w jej stronę poduszką. Odbiła się od ościeżnicy.

May była w swoim pokoju za zamkniętymi drzwiami, kiedy wyłoniłam się z pokoju. Podeszłam do telefonu w korytarzu i znalazłam tam kubek kawy. Musiałam się uśmiechnąć. Było to dziwnie pocieszające, mieszkanie z kimś kto zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny, nawet jeśli ta właśnie osoba jest żyjącym przypomnieniem o nieuniknionym końcu mego życia. Oparłam się o ścianę, wybierając numer do Herbacyanych Ogrodów.

Telefon dzwonił tak długo, że już po woli zaczęłam wpadać w panikę, kiedy w końcu podniosła Marcia mówiąc. — Japońskie Herbaciane ogrody? W czym mogę pomóc?

— To ja, Marcia. Co z nią?

— Toby! — Jej głos był przesiąknięty ulgą. — Tak się cieszę, że zadzwoniłaś.

— Zadzwoniłabym wcześniej, ale właśnie wstałam. — Popiłam kawę, parząc sobie usta. Ból nie był jednak wystarczający, aby powstrzymać mnie przed kolejnym łykiem. — May przekazała mi wiadomości. Czy coś się zmieniło?

— Nie. Nie pogorszyło jej się. To dobrze, prawda?

Chciałam ją o tym zapewnić, ale nie mogłam tego zrobić. — Nie wiem. Czy są jakieś postępy w znalezieniu jej perły?

— Jeszcze nie. Ale wszyscy szukają.

— Szukajcie dalej i upewnijcie się, że ten, kto będzie czuwał przy Lily, zapyta ją o to, gdy ta się zbudzi. Muszę udać się do Cienistych Wzgórz i pojawić na balu nim będę mogła do was przyjść. Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

— W porządku, tak zrobię.

Po tym nie było już więcej nic do powiedzenia. Wymieniłyśmy jeszcze kilka niejasnych zapewnień, po czym się rozłączyłam, nadal nieusatisfakcjonowana. Pójście na bal, gdy Lily była chora za bardzo przypominało mi Nerona w niefrasobliwym nastroju, podczas gdy płonął Rzym, ale May miała rację, nie miałam zbytniego wyboru zwłaszcza dzień po tym jak zostałam wyniesiona do godności hrabiny. Nagle postępowanie zgodnie z politycznymi regułami, okazało się o wiele ważniejsze.

Wzięłam kolejny spory łyk kawy, zanim wybrałam numer Mitcha i Stacy.

Był już prawie zachód słońca, co znaczyło, że wszyscy będą na chodzie, dzieciaki wrózek może i są nocnymi stworzeniami, ale to wcale nie znaczy, że są odporne na urok popołudniowej telewizji.

— Rezydencja Brownów — powiedział uroczystym głosem Anthony, starszy z dwóch chłopców Brown. Niedawno skończył dziesięć lat.

— Hej, dzieciaku — odparłam, relaksując się odrobinę przy ścianie. — Czy twoja siostra już wstała?

— Ciocia ptaszyna! — Zapał zachwycony. Po chwili otrzeźwiał i już głosem zupełnie pozbawionym entuzjazmu powiedział. — Karen poszła z powrotem do łóżka, ale powiedziała wszystkim, że jeśli zadzwonisz, mamy ci powiedzieć, że ona wie wszystko, co wiesz i nie wie, dlaczego to jest ważne. Czy śniła razem z tobą ostatniej nocy?

— Tak, śniła — powiedziałam, powstrzymując się, aby nie przekląć.

— Posłuchaj, gdy się zbudzi, powiedz jej, żeby zadzwoniła, jeśli cokolwiek jej się przypomni, cokolwiek dobrze? I powtórz mamie, że postaram się wkrótce wpaść z wizytą.

— Obiecujesz?

— Obiecuję. Tęsknie za wami.— Rodzinka Brownów, to jedne z moich ukochanych istot na całym świecie. Wydaje się, że nigdy nie mam zbyt wiele czasu na to wszystko, co w moim życiu najlepsze, jak na przykład spędzanie czasu ze starymi przyjaciółmi i ich dziećmi. Ostatnio ciągle coś się dzieje, jeden nagły przypadek po drugim od czasu, gdy wyostałam się ze stawu.

— My też za tobą tęsknimy, ciociu ptaszynko — powiedział poważnie Anthony.

I chociaż bardzo chciałam zostać na linii i zapytać go o to, czego się teraz uczy, co robią jego brat i siostry, spytać go o wszystkie te rzeczy, o które spytałaby dobra ciocia, nie miałam czasu. Powtórzyłam obietnicę, że wkrótce ich odwiedzę i rozłączyłam się, gdy tylko to zrobiłam, zdałam sobie sprawę jak głodna jestem. Najwyraźniej kawa wystarczyła, aby obudzić mój żołądek.

Poszłam do kuchni i napełniłam miskę płatkami Lucky Charms, zalewając je kawą. Cliff kiedyś zawsze symulował odruch wymiotny i udawał, że się dławił, gdy to robiłam, ale zawsze właśnie w taki sposób lubiłam swoje płatki. Zamarłam z łyżką w połowie drogi do usta, gdy zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy od długiego czasu myśl o Cliff'ie mnie nie raniła. Przyprawiła mnie o smutek jasne, nie był tylko moim kochankiem, ale też ojcem mego dziecka, był też jednym z moich najbliższych przyjaciół, a utrata przyjaciela nigdy nie jest czymś wesołym, ale poczułam tylko smutek. Żadnego bólu, żadnej tęsknoty.

Może w końcu zaczynałam ruszać do przodu.

Po jedzeniu poczułam się lepiej a po prysznicu prawdopodobnie poczuje się nieomal normalnie. Zostawiłam pustą miskę na kuchennym blacie, walcząc z sukienką przez całą drogę do łazienki. Miałam na sobie już takie ilości formalnych sukien, że doskonale wiedziałam jak się w nich poruszać, ale były one wszystkie iluzoryczne, sprawiając, że zdjęcie nie wymagało niczego więcej niż zaklęcia. Ta suknia była ciężka, brudna i zdecydowanie zbyt prawdziwa. Zdjęcie jej odebrała prawie jak moralne zwycięstwo.

W moim mieszkaniu jest doskonale ciśnienie wody. Odkręciłam krany na całą parę i weszłam pod prysznic, pozwalając, aby strumień zlał moje ramiona i twarz. Stałam tak jeszcze długo po tym jak byłam już czysta, oddychając w gorącej parze. Jest coś uspokajającego w staniu pod prysznicem. Tak długo jak pod nim jesteś, nie możesz się pobrudzić.

May czekała na kanapie, kiedy wyszłam z łazienki. Obrzuciła mnie spojrzeniem z góry na dół, po czym zapytała. — Czujesz się lepiej?

— W zasadzie to tak.

— A nie mówiłam. Teraz się ubierz.

Skłoniłam się jej uprzejmie. Jej śmiech podążał za mną aż do sypialni, gdzie Cagney i Lacey leżały zwinięte na łóżku w ostatnich promieniach słońca. Lacey podniosła łepkę, spoglądając na mnie.

— Nie martw się — powiedziałam — jesteś szczęściarą. Zostajesz w domu. — Sięgnęłam w stronę szuflady, zatrzymując się z dłonią w powietrzu.

Nawyk królowej polegający na transformacji moich ubrań jest niezwykle irytujący zwłaszcza, że nie posiadam takich magicznych umiejętności, aby zmienić je z powrotem. Jest tylko kilka wróżek, które mają zdolność do przekształcania nieożywionej materii a wróżki Daoine Sidhe do nich nie należą i dlatego polegamy na iluzji i złudzeniu w tworzeniu naszej garderoby. Ale zdarzyło mi się akurat mieć pod ręką wystarczająco formalną suknię na tą okazję.... Chwyciłam pogniecioną suknię z podłogi, gdybym tylko wykombinowała jak wywabić plamy z trawy, które pokrywały spódnicę.....

— Hej, May, wiesz coś na temat czyszczenia jedwabiu?

Przechyliła się z kanapy, szeroko otwierając oczy, gdy zobaczyła, co trzymam. — Poważnie myślisz, aby to włożyć?

— Nie powinnam wykorzystywać magii na prawo i lewo, jeśli nie muszę, nie sadzisz? W końcu nie jest tak, że nie mam niczego do stracenia. — Każdy odmieniec ma inne pokłady mocy a przekraczanie ich granic, to najlepszy sposób na to, aby zrobić sobie krzywdę. Jeśli miałam pozostać w miarę dobrej formie, to musiałam unikać magicznych poparzeń tak długo jak się tylko da.

May zawahała się nim wstała z kanapy i weszła do mojej sypialni. Przygryzała palec wskazujący, wyglądając na rozdartą a w końcu powiedziała. — Mogę pomóc. Daj nóż.

Zamrugłam. Napotkała moje oczy, kiwając lekko. Coś w tym geście powiedziało mi, żeby jej posłuchać. Przeszłam obok niej do przedpokoju gdzie nadal wisiły moje noże. Odpięłam pokrowiec, w którym trzymałam srebrny nóż i zerknęłam z powrotem na May. — Zakładam, że mogę użyć srebra a nie żelaza?

— Tak — odparła z kolejnym skinieniem. — A teraz zatnij się i splam krwią sukienkę.

Podniosłam brew. — Co?

— Zaufaj mi. — Zaoferowała uśmiech. — To taka odjechana umiejętność wszystkich sobowtórów.

— Jasne — odparłam powoli. Nie miałam żadnych lepszych pomysłów, więc nacięłam lewą dłoń, mój żołądek wywinął salto na widok mojej własnej krwi sączącej się z rany. Nie cierpiałam widoku własnej krwi, zerknęłam na May nim wyciągnęłam rękę w górę.

Już i tak czerwona tkanina pociemniała, spijając krew jak sucha ziemia deszcz. May złapała mój nadgarstek, przyciskając dłoń do sukni. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że stanęła za mną.— May, co do ...—

— Zaufaj mi — odparła i strzeliła palcami.

Moja magia odpowiedziała, wzrastając z zapalem, który był nieomal przerażający, nawet pomijając to, że to nie ja ją wznieciłam. May zebrała mniej niż ćwierć mocy, której ja sama potrzebowałabym do iluzji. Jej magia wzrastała, aby do mnie dołączyć, dodając zapach popiołu i waty cukrowej do zapachu miedzi, świeżo skoszonej trawy i krwi.

Na to wszystko magia królowej otoczyła nas, wypełniając moje usta posmakami jarzębiny i wilgotnego piasku. Gapiłam się na May, puściła mnie w końcu, trzymając sukienkę jak świeże płótno.

— Zakłęcie jest na tyle świeże, że można z nim polemizować — powiedziała. — A teraz powiedz jaka ma być.

Gapiłam się przez chwilę nim wyciągnęłam wciąż zakrwawione dłonie i złapałam zakłęcie królowej w taki sam sposób, w jaki złapałabym mgłę, czy cienie, aby stworzyć iluzję.

Wyczułam lekki opór jak nacisk powietrza. A wtedy moje palce chwyciły, moja magia przysłoniła wszystko inne i zrozumiałam, co powinnam zrobić. Królowa zmieniała moje ubrania w suknie, nie mogłam przełamać jej zaklęcia (nawet krew nie dawała mi takiej mocy), ale tak długo jak nie próbowałam go przełamać, mogłam zrobić coś innego, na przykład zmienić definicję sukni. Wizualizacja jest istotna, kiedy tworzysz iluzję a to było na tyle bliskie, że obowiązywały te same zasady. Stworzyłam w swojej głowie obraz prostszej, czystszej sukienki i wymamrotałam zaklęcie.

Magia szarpnęła się gwałtownie, nim rozlała falą, pozostawiając mnie z posmakiem piasku na języku. Tym razem głowa mnie nie bolała. Magia May przejęła siłę zaklęcia, nie moja, moja tylko ją przekierowała. May zaoferowała sukienkę.

— Zrobione — powiedziała.

— Nie wiedziałam, że potrafisz coś takiego — skomentowałam i wzięłam. Królowa projektowała suknie zbyt delikatne i kruche do praktycznego użycia dla kogoś, kto spodziewa się czegoś więcej niż walca. Materiał nadał był w kolorze wyschniętej krwi, ale teraz był aksamitny a nie jedwabny z jedną halką w kolorze ciemnego różu.

Rozcięcia były zaprojektowane tak, aby wyglądały dekoracyjnie, jednocześnie pozwalając swobodnie się poruszać i ukryć noże.

— Cóż, potrafię. A teraz idź się przygotuj.

Przerzuciłam suknię przez ramię, wzięłam noże i pasek. — A tak poważnie, masz zamiar powiedzieć mi jak to zrobiłaś?

— Radykalna transformacja pozostaje plastyczna przez dzień lub dwa, jej zaklęcie było na tyle świeże, że można je było przekształcić. A ty przełataś swoją krew na nie, dla mnie.— Wzruszyła ramionami. — Jestem twoim sobowtórem. Wiem, co jest możliwe, pogódź się z tym.

Spojrzałam na nią, próbując wykombinować, czego mi nie mówi. Uśmiechnęła się szczerze, po czym dodała. — Zaraz wracam.

— Będę czekać.

Udało mi się powstrzymać chęć trzaśnięcia drzwiami, ale tylko dlatego, że zaniepokoiłoby to koty.

Ubranie się w przetransmitowaną suknię było o wiele łatwiejsze, niż wydostanie się z niej przedtem. Większość haczyków i tasiemek zniknęła zastąpiona przez guziki. Mój pasek na noże zapięłam pod spódnicą na halce, niewielkie wybrzuszenie, jakie tworzył, ukryłam pod złotą brokatową szarfą, zawiązaną na biodrach. Może to niezbyt kulturalne iść na formalne przyjęcie uzbrojona, ale w tych dniach wołałam nie chodzić nigdzie bez możliwości, aby się obronić. Sylvester na pewno by zrozumiał. Zawsze rozumiał.

Przeczesałam dłonią włosy, krzywiąc się do własnego odbicia w lustrze. Lustro skrzywiło się grzecznie w odpowiedzi.

Spike wskoczył na kanapę, kiedy wróciłam do salonu, strosząc kolce zachęcająco w moim kierunku. Zagrzechotał wesoło, gdy podeszłam i zaczęłam go głaskać. Dopieszczanie różanego goblina bez uprzedniego zranienia się jest prawdziwą sztuką. W zasadzie są one animacją odrobiny kota połączonego z krzakiem róży i trzeba uważać gdzie się go dotyka.

— Ruszaj! — May gestem wskazała na drzwi.

Drgnęłam tylko odrobinę, gdy Spike wskoczył mi na ramię.— Idziesz? — Spytałam. Zagrzechotał, ocierając się delikatnie kłocami o mój policzek.

— Oczywiście, że idziesz. — Spike trochę za bardzo lubi jazdę samochodem. Już dwa razy musiałam go ściągać od Stacy, po tym jak odjechała ode mnie nie sprawdzając wcześniej, czy ma jakiegoś pasażera na gapę.

— Pomyśl o tym jak o modnym elemencie garderoby — powiedziała May. — Kobiety kiedyś nosiły papugi i małe małpki. Ty nosisz różanego goblina. To bardzo sztywne.

Machnęła ręką. Zapach waty cukrowej i prochu wzrastał w powietrzu znikając po chwili i pozostawiając nas wyglądające jak ludzkie kobiety. W dodatku noszące te same stroje.

Podniosłam brew.

— Co? Mówiłaś, że musisz oszczędzać swoją magię na później a nie możesz iść tam i wyglądać jakbyś właśnie uciekła z epoki renesansu — wyszczerzyła się w uśmiechu May.

— Zrobię sobie jakiś strój, jak już tam dotrzemy i zobaczę co moja randka ma na sobie.

— Szpanerka. — Złapałam kurtkę, wsunęłam ją na moją powstałą z iluzji bluzkę i zbyt realistyczną balową suknie. W tym, czy w tym stroju będzie wyglądała na mnie dzisiaj śmiesznie, ale i tak chciałam ją mieć ze sobą.

May czekała na chodniku, siłąc się na powagę, gdy wychodziłam i zamykałam drzwi. Jakoś jej to nie wychodziło. — Teraz już jesteś gotowa? — Zażądała odpowiedzi, rozbawionym tonem.

— Bardziej gotowa już nie będę — odparłam. — Chodź.

Wciąż chichocząc, May złapała mnie za łokieć i poprowadziła w kierunku samochodu. Tą, czy inną drogą idę na bal.